

Nie będziesz miał bogów Joga doprowadziła mnie do przedsionka piekła

Kiedy miałam dziewiętnaście lat, bardzo interesowałam się jogą. Zgłębianie zaczęłam od ćwiczeń, które miały usprawnić moje ciało, ale później ćwiczyłam również psychikę, bo tego wymagało pełne zaangażowanie się w jogę. Kupowałam książki, gazety, czytałam jak krok po kroku dojść do „wielkiego szczęścia”, czyli do połączenia się z wszechświatem. Ćwiczyłam intensywnie, dzień w dzień, przez wiele godzin. Po trzech latach potrafiłam zgromadzić energię w każdej czakrze bez większego trudu. Teraz należało ją zebrać w jednym centralnym miejscu i otworzyć się na wszechświat. Obiecywano, że jest to szczyt dążeń jogi. Byłam gotowa. Nadszedł wieczór, kiedy byłam sama i nikt mi nie przeszkadzał. Chciałam zasmakować tego szczęścia. Udało mi się szybko zebrać całą energię: moje ciało było strasznie ciężkie, bez czucia, jakby obce. Czułam jak z niego wychodzę, jak jest mi lekko, dobrze.... Moim celem było połączenie się z jakąś bliżej nieokreśloną energią, która miała dać mi obiecane szczęście.....Naraz poczułam, że coś zaczyna mnie wchłaniać, coś strasznego, czarnego. Nie mogłam się uwolnić, a tak chciałam już wrócić z powrotem! Nie umiałam opisać strachu, przerażenia, rozpacz- chciałam wrócić do swojego ciała, a „to” mnie wciągało coraz mocniej i mocniej. Pomyślałam, że to chyba jest piekło i myśl moja powędrowała do dobrego Boga. W tym samym momencie wróciłam z powrotem. Do rana leżałam jak sparaliżowana: złana zimnym potem, bałam się własnego oddechu. Miałam wrażenie, że przez chwilę byłam w piekle lub w czymś, co to przypomina, pomimo wszelkich podręcznikowych zapewnień, że spotkać mnie miało wymarzone szczęście.

Kiedy ćwiczyłam jogę, moje życie układało się gładko. Miałam nawet pewne zdolności, np. wiedziałam, co się wydarzy, jak skończy się dana sytuacja życiowa znajomych, jak przebiegnie egzamin...Bawiło mnie to, ale i dawało jakieś poczucie wyższości nad innymi, bo ja potrafiłam przewidzieć wiele rzeczy, a oni nie. Nie zastanawiałam się wówczas, skąd to mam, było mi z tym po prostu wygodnie i to wystarczyło. Wszystko zmieniło się po tej pamiętnej nocy. Postanowiłam zerwać definitywnie z jogą i nie mieć z tym już nic wspólnego. Najgorsze było to, że nie mogłam o tym z nikim porozmawiać- bałam się posądzenia o chorobę psychiczną czy o zdiwaczenie, bo przecież wszyscy wiedzieli, co obiecywały mi podręczniki jogi. Nigdy już do tej praktyki nie wróciłam, ale w moim życiu zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Czułam, jak gdyby coś, co mi do tej pory sprzyjało, zaczęło mnie niszczyć. Byłam wychowana w wierze katolickiej, codziennie się modliłam, uczęszczałam co niedziela na Mszę świętą, choć robiłam to bardziej z przyzwyczajenia i tradycji niż z potrzeby serca. Teraz każde pójście do kościoła było dla mnie katuszą. Już w drodze na Mszę świętą było mi słabo, miałam wrażenie, że coś zabiera mi siły. Zawroty głowy, słabość w nogach, mdłości pojawiały się nagle i nie chciały mnie opuścić, a przecież byłam zdrowa fizycznie. W kościele stawałam zawsze przy drzwiach wyjściowych, bo nie byłam w stanie wejść w głąb. Wiele razy podsuwano mi krzesło, widząc jak bardzo jestem blada. A ja nie rozumiałam, co się ze mną dzieje. Zaczęłam spóźniać się na Msze świętą, żeby skrócić sobie katusze, którym byłam poddawana. Stałam się nerwowa, noce stały się dla mnie koszmarem, miałam wrażenie, że coś zabiera mi siły i życie. To trwało ponad trzy lata: byłam u kresu sił i podupałam już na zdrowiu. Nadal bałam się o tym komukolwiek powiedzieć, a bardzo potrzebowałam pomocy, tym bardziej, że nachodziły mnie coraz częściej myśli podsuwające jedyny, zdawać by się mogło, sposób na uwolnienie się z tego koszmaru - śmierć.

Już jako dziecko żywiłam szczególnie ciepłe uczucie do Matki Bożej, przynosiłam Jej kwiaty do ołtarza, rozmawiałam z Nią. Wiele lat temu obiecałam bliskiej mi osobie, że codziennie zmówię choć część różańca. Słowa dotrzymałam, choć kończyło się to przeważnie na jednym „*Zdrowaś Maryjo*”. I właśnie podczas tego „*Zdrowaś Maryjo*” w ciągu owych trzech lat przychodziła mi do głowy wciąż ta sama myśl, która nękała mnie do bólu: „*Zaczynij przyjmować Komunię św.- ona da ci siłę*”. Zupełnie w to nie wierzyłam, bo jakże taki mały opłatek może mi pomóc, przecież go już przyjmowałam i nic szczególnego się nie działo. Ta myśl wciąż mnie jednak nękała. Aż wreszcie przyszedł koniec, moje własne siły się wyczerpały i wszystko zaczęło się walić: sam widok kościoła budził dreszcze i strach, a myśl o Matce Bożej sprowadzała od razu do mojej głowy bluźnierstwa, co było dziwne, bo przecież na swój sposób Ją czciłam. Powróciła do mnie myśl o przyjmowaniu Komunii św. Powiedziałam wtedy: „*Dobrze Panie Boże, niech Ci będzie. Ja obiecuję, że przez cały rok, co niedziela będę przystępować do Komunii św. , ale Ty mi pomóż, bo ginę!*”. Było to postawienie Bogu ultimatum. Słowa dotrzymałam, choć Bóg jeden wie, ile mnie to kosztowało. Każda droga do ołtarza była męką, słałam wiele razy, ale jednak szłam. Po pewnym czasie zauważyłam, że owa zła siła przestała we mnie przeważać. Czułam jak obok powstaje we mnie coś nowego, coś większego, coś co wraca mi siły. Nic z tego za bardzo nie rozumiałam, ale instynktownie czułam, że to moja jedyna deska ratunku.

Minał rok. Szłam na Mszę świętą i cieszyłam się, że „*swoje odrobiłam*” i że jeśli nie chcę, nie muszę już podchodzić do Komunii św. i przeżywać po raz kolejny towarzyszących temu katuszy. Ludzie szli, a ja siedziałam w ławce, ksiądz skończył rozdawanie Komunii św., a ja uczułam coś dziwnego w sercu, co przyszło do mnie jakby z zewnątrz. Serce ścisnął mi żal nie do opisania, taki, z jakim żegna się ukochaną osobę na dworcu. Łzy popłynęły, smutek ścisnął serce i wtedy zrozumiałam: odczułam brak Jezusa, zrozumiałam, że Komunia św. to nie tylko kawałek opłatka, że ja przyjmuję żywego Boga. Mój żal wypływał z faktu dobrowolnej rezygnacji z przyjęcia Go do swojego serca. Otworzyły mi się oczy, dopiero wówczas wiele rzeczy zrozumiałam.

Dziś staram się być blisko Boga, często uczestniczę we Mszy świętej. Pan często nawiedza moje serce i zalewa je swą miłością, choć nie szczędzi również krzyży i cierpienia, nigdy jednak nie zostawia mnie z tym samej. Moja walka ze złym zabrała mi jeszcze wiele lat i nadal trwa, ale Bóg mnie chroni. Ogarnia mnie tylko paniczny strach, gdy widzę jak wielu ludzi zabawia się w wróżbiarstwo, tarota, magię. Wiem, co to oznacza i jakie są tego konsekwencje. Również dlatego zdecydowałam się napisać to świadectwo, żeby przestrzec wszystkich przed tego typu praktykami.

Matko Boża, dziękuję za Twą opiekę, że mnie nie zostawiłaś, choć mój obiecany różaniec był taki krótki. Ze względu na moje marne „*Zdrowaś Maryjo*”, Ty mnie Matus, nie opuściłaś.

Krystyna